Nr. 37. We Lwowie dnia 11. Września 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysloucha.

Przesilenie we Francji.

Sprawa Dreyfusa przechodziła takie stadja, że wywołała tyle namiętności, komentarzy i objaśnień, że staje się koniecznem rozważyć, dlaczego właśnie sprawa ta ruch taki obudziła.

Rewizja procesu jest prawie tak jak uchwalona: jakie zaś nowe zawikłania stąd powstaną, tego absolutnie nikt się nie może domyślić; dość powiedzieć, że niektórzy obawiają się wojny, jako ostatecznego wyniku rewizji.

Otóż zdaje nam się, że należy przedewszystkiem zbadać, jakie pierwiastki wchodzą do tej sprawy, nadając jej pierwszorzędną wagę — i oznaczyć jej cechy bez względu na to, czy Zola się myli czyli nie myli, czy Dreyfus winien czy nie winien. Czem jest sprawa Dreyfusa w istocie rzeczy, nikt o tem nie wie; domyślać się tylko można, że jest ona czemś zupełnie odmiennem od tego, co jest znane publiczności.

Niepodobna przypuszczać, aby grono najwyższych oficerów skazało na hańbę człowieka świadomie niesprawiedliwie; ale również jest nielogicznem sądzić, że zwolennicy Dreyfusa dla jakiejś z góry przegranej sprawy czyniliby tak ogromne wysiłki, — są w tej sprawie tajemnice, które częściowo może wyjaśni nam proces, ale które w całości dopiero przyszłość daleka odkryje.

Jak dotąd, można powiedzieć, w sprawie tej decyduje nie wiadomość, nie rozwaga, ale wiara. Czy Dreyfus winien czy nie winien — o tem nikt nie wie; w to można tylko wierzyć albo nie wierzyć. I rzeczywiście jedni wierzą w to, drudzy nie wierzą.

Pominąwszy pewne względy partyjne, głównie decydujące we Francji, poza jej granicami można śmiało twierdzić, że ci którzy wierzą w niewinność Dreyfusa są to najczęściej żydzi; wszyscy nie żydzi znów wierzą w jego winę. Czy ta wiara wyraża fakt? Bynajmniej, wyraża ona votum, pragnienie jednej i drugiej strony — i w tem pragnieniu wyraża się odwieczny antagonizm rasowy. Żydzi pragną, aby się okazało, że Dreyfus jest niewinny; nieżydzi pragną, aby się okazało, że Dreyfus jest winny. I zdaje się rzeczą pewną, że gdyby Dreyfus okazał się winny, to żydzi z właściwą swojej rasie superlatywnością tryumfowaliby w sposób zbyt nieumiarkowany; nieżydzi zaś nie darowaliby nigdy żydom tej niewinności i za nową obelgę ją uważali

Taki jest nastrój mas; poza tem znajdować się mogą jednostki, dla których kwestja rasowa na drugi plan schodzi.

Są dzienniki żydowskie we Francji (Gaulois, Petit Journal), które przez patrjotyzm, ducha partji czy interes — głosują przeciw Dreyfusowi; niektórzy nieżydzi — stoją po jego stronie i tu właśnie jest jeden z punktów drastycznych sprawy. W pierwszym rzędzie stoi tu Zola; wystąpienie jego — zupełnie logiczne i naturalne — wywołało burzę namiętności, oszczerstw i tłumaczeń. Widocznie w w sprawie Dreyfusa punctum saliens stanowi jego żydowskie pochodzenie; wszystkie inne pierwiastki schodzą chwilowo na plan drugi: solidarność obu ras i ich antagonizm wybuchnęły tak gorąco, że zdawało się niepojętem, czemu wystąpił Zola. Była to jednak rzecz naturalna: Zola zdradził solidarność swojej rasy, wygłosił takie wierzenie i takie votum, jakich nie mogła uznać większość (masa) jego współrodaków. Więc też jedni widzieli w tem chęć reklamy, inni dowodzili, że zapłacony przez żydów; inni nakoniec wprost nazywali go żydem.

Wystąpienie Zoli nam się zdaje rzeczą zupełnie naturalną i prostą, choć niewątpliwie wymagało ono wielkiej odwagi cywilnej i wielkiego zaparcia się. Wiekuista walka »człowieka

z miastem« — powtórzyła się tu raz jeszcze; i jakkolwiek Zola tu pozornie stoi na drugim planie — to jednak ważną rolę gra w tej historji antagonizm jednostki i społeczeństwa.

Rzeczywiście jednostka żąda od społeczeństwa bardzo wiele. Rewizja procesu Dreyfusa, jak powiedział ktoś (Hubbard), — jest rewizją całego ustroju socjalnego. Za wiele może powiedział ten polityk; niewątpliwem jednak się zdaje, że rewizja może wywołać lub przygotować wywołanie nieznanej miary przewrotów. Potrójny anatogonizm występuje najoczywiściej w tej sprawie; naprzód antagonizm racji stanu i sprawiedliwości, powtóre antagonizm typu wojskowego i typu cywilnego; potrzecie antagonizm rasowy, który w pewnych sferach stanowi, ściśle biorąc, jedyny punkt orjentacyjny.

Samobójstwo Henry'ego żadnego nowego światła właściwie na sprawę nie rzuca; jest ona bowiem równie ciemna dziś jak była przedtem. Oczywistem jest jednak, że ten nieszczęśliwy oficer jest ofiarą racji stanu; p i a f r a u s kierowała nim i doprowadziła go do fałszerstwa; aby osłonić tajemnice państwowe nie wahał się przed niczem. W całej tej sprawie daleko ważniejszem jest to, co przedstawiciele rządu przemilczeli, niż to co powiedzieli. Kazimierz Perier wprost oświadczył, że wszystko wie, ale powiedzieć nie może. Racja stanu woli zgubić jednostkę (przypuściwszy jej niewinność), niż narazić swoją powagę wobec narodu — i Europy. Dziś za granicą Francji jest głos ogólny, że sztab generalny mocno się skompromitował.

Jest to sprzeczność dziwnie tragiczna: znajdujemy się w republice, która sto lat temu ogłosiła sprawiedliwość, jawność sądów, swobodę słowa itd. — i oto dziś okazuje się, że wobec państw sąsiednich dla uratowania bytu własnego, ta Rzeczpospolita musi łamać zasady własne; że ta jawność i swoboda nie daje krajowi gwarancji tajemnic państwowych.

W Rosji np. sprawa taka jak proces Dreyfusa i rewizja procesu Dreyfusa odbyłaby się tak tajemnie, że niktby o tem nie wiedział: ale od Francji żądają, aby ona wszystko powiedziała, wszystko wyjawiła, aby odsłoniła się w całej nagości. Francja tego zrobić nie może — i raz jeszcze woli poświęcić jednostkę, choćby — przypuśćmy — niewinną, aniżeli światu pokazać swoje arkana.

Z drugiej strony rząd popełnił ten błąd, że zanadto strunę przeciągnął; gdyby od razu do rewizji przystąpił, jako do rzeczy naturalnej, sprawa odbyłaby się spokojnie, bez rozgłosu i bez wywołania tysiąca antagonizmów i sprzeczności. Dziś musi rząd wytrwać na swojem, musi być bezwzględny, musi do końca nakazywać wiarę w swoją nieomylność, musi raz jeszcze odmawiać wszelkiej rewizji rzeczy osądzonej — źle czy dobrze — ale osądzonej. Rząd i racja stanu w danym razie stanowią jedno i to samo.

Racja stanu zatem jest to potęga wielkiej wagi. Ale bądź co bądź Francja jest republiką, jest ziemią swobody, jawności, sprawiedliwości — i jako taka musi ona coraz bardziej rozszerzać swe ideały; musi ona dojść do tej wyżyny, na której sprawiedliwość przeważa rację stanu. Czy dojdzie do tego w sprawie Dreyfusa, nie wiadomo, jednakże logika rozwoju społecznego wymaga i nakazuje, aby rzecz taka stała się; aby prędzej czy później sprawiedliwość czysta kierownikiem ludzi została.

Zola i (wyłączywszy rodzinę Dr., jako interesowanych) nieliczna grupa, która go otacza, tę właśnie tradycją wielkiej Deklaracji wyobraża i ideał jej rozszerzony do granic najdalszych piastuje. Bardzo być może, że tym razem jeszcze zwolennicy prawdy zginą, ale idea pozostanie; może wobec innej sprawy, która mogłaby większą popularność uzyskać w tłumach, idea ta zwycięży. Niema nic naturalniejszego, jak nienawiść w danej chwili tłumu do Zoli: z jednej strony obraził on armję, wypieszczone dziecię narodu, z drugiej stanął w obronie człowieka oskarżonego o zbrodnię potworną i przytem żyda. Nagromadził więc sobie trudności i uniemożliwił wszelką popularność swoją i sprawy; należy tem większy nacisk na tę kwestję położyć, że nigdzie tak jak we Francji masa, tłum, nie kieruje ruchem publicznym, zwłaszcza, że znajdą się zawsze jednostki, które pochlebiając instynktom, rozpalając namiętności, podniecają w tłumie rozpęd w danym kierunku.

Rozważmy teraz drugi antagonizm, w sprawie tej ukryty. Armja – a właściwie konieczność utrzymywania armji — jest niewątpliwie jednym z najważniejszych powodów, które niepozwalają Francji na dopuszczenie do rewezji procesu. Ujawnienie tajemnic państwa ujawniłoby również tajemnice armji. Armja, to obrona kraju, to r e v a n c h e, to przyszłe odzyskanie Alzacji i Lotaryngji. Armja — nie może światu słabości swojej obnażyć.

Aby usunąć siłę racji stanu, aby umożliwić rewizję procesu Dreyfusa — koniecznem jest przedewszystkiem rozbrojenie sąsiadów; koniecznem jest, aby ci sąsiedzi nie mogli przeciw armji francuzkiej — wystawić swoich legjonów. Nie dziw, że niektóre dzienniki przyznając konieczność rewizji procesu, żądają razem mobilizacji wojska. Taką jest fatalność istnienia armji i zbrojnego pokoju.

Ale armja uległa ogromnej ewolucji od czasów Bayarda i Napoleona; owi »bogowie wojny«, zmienili się później w »mięso dla armat«, a ostatecznie militaryzm przetworzył ich w jednostajne gromady ludzi, rozwijając w nich maszynową karność, siłę równoważącą,

nadmierny wykwit indywidualności, jaki z »prawa człowieka« konsekwentnie wypływa; indywidualizm ten narusza harmonję państwową, militaryzm ją doprowadza do równowagi. Militaryzm stwarza dziś tę dyscyplinę, która w społeczeństwach jutra będzie siłą zasadniczą.

Owóż, będąc czynnikiem rozwoju ludzi nowych, militaryzm dzięki tradycji przeszłości — zawiera jeszcze nie mało przywilejów szczególnych, które nadają armji charakter wyjątkowy w społeczeństwie. Mówiąc terminami Spencera, typ wojskowy dziś jeszcze ma niejako supremację nad typem cywilnym (przemysłowym) w społeczeństwie: z łatwych do zrozumienia przyczyn we Francji (i zresztą wszędzie) typ cywilny uznaje tę supremację. Wyjątek stanowi Anglja, kraj o najbardziej rozwiniętym typie cywilnym, gdzie też armja stoi na niższym stopniu w opinji ogółu.

Ale i we Francji rozwija się typ cywilny — i tu supremacja armji do czasu tylko trwać może — i tu w danym momencie zawołano już parokrotnie: dyktatura szabli się zaczyna! Przeciw tej dyktaturze, która zawsze jest we Francji zapowiedzią cezaryzmu — wystąpił Zola — jako przedstawiciel świata niewojskowego.

Sprawę antagonizmu plemiennego, który ze szczególną siłą objawił się w tej sprawie, jako już omówioną, pominiemy tutaj, choć niewątpliwie nadawałaby się ona do szerszego traktowania; sprawa ta zresztą przypomina się co chwila z powodów rozmaitych.

Taki jest splot sprzeczności w sprawie tej zawartych; one to czynią z niej kwestję wagi pierwszorzędnej, a tragiczne wypadki jakie się z nią powiązały — prowadzą do tego, że cały świat niecierpliwie oczekuje jej rozwikłania. Dodać potrzeba, że wielkość sprawy jest też w znacznym stopniu związana z tem, że toczy się ona w dziedzinie jednego z największych narodów i w sferze najwyższych idej społecznych.

A. Lange.

4)

„Pan Tadeusz“ Mickiewicza jako Epos.

Tak samo „Pan Tadeusz“ na długie wieki będzie mówił żywo o zaginionych kształtach, niby odłam skały, zawierającej odciski roślin i zwierząt przedpotopowych[1]). Szczególnie w gromadzie szlachty zaściankowej, poeta ukazał szereg figur o rysach tak silnych, tak oryginalnych i jaskrawych — w porównaniu z ludźmi naszych czasów, że przybierają odcień heroiczny.

Nie są to zapewne bohaterowie, obdarzeni nadludzką potęgą, jak Achilles, na którego sam krzyk — tłum wrogów pierzchał, jak Hektor, rozbijający bramę obozu greckiego głazem, co go trzy konie z miejsca ruszyć nie mogły, jak Dankwart w „Niebelungach“, torujący sobie drogę mieczem, przez tysiące Hunnów, albo nareszcie jak Rama, niestrudzony w trzydniowej walce z królem demonów Rawaną, aby z jego niewoli wyrwać drogą małżonkę.

Jednakże w bitwie z wojskiem regularnem — Maciek dokazuje cudów, Konewka z garłacza kładzie tuziny ludzi, Kropidło i Brzytwa gromią przeciwników straszliwie:

„Ten ich w pół ciała rzeza, tamten w głowę wali,
Jako machina, którą niemieccy majstrowie
Wymyślili, i która młocarnią się zowie,
A jest razem sieczkarnią, ma cepy i noże
Razem i słomę kraje, i wybija zboże;
Tak pracują Kropiciel i Brzytwa pospołu,
Mordując nieprzyjaciół — ten z góry, ten z dołu.“

Cała ta walka, przypominająca nawet utarczki Homerowskie w pojedynku Hrabiego i Kapitana, jest obrazem epickim w wielkim stylu. Wobec dzisiejszej sztuki wojennej, która stutysięczne armje posuwa jak figury na szachownicy, według planu obmyślanego matematycznie, niemożliwe są takie wysiłki osobistej energji, lub genialne pomysły domorosłych strategików, jak np. zwalenie sernicy na trójkąt uszykowanego pod parkanem wojska.

Malując życie epoki zamierzchłej, staje poeta na poziomie pojęć i wyobraźni jej synów, przedstawia zetknięcie się pierwiastku rodzimego z naleciałościami obcemi. W perorach, jakie prawią sędzia i podkomorzy o dawnych obyczajach i powadze tradycji, przebija się już moralizatorstwo, rezonowanie, a więc składnik etyczny, celowy — nieznany w epopejach pierwotnych, których bohaterowie stoją na gruncie tradycji bez zastrzeżeń i nie potrzebują jej bronić wobec nowych prądów.

[1]) Znaczenie poematu, jako dokumentu tradycji, określa trafnie p. Biegeleisen (str. 10), a szeroko rozwija tę kwestję p. Gostomski (str. 48 i następne), którego książka, pomimo pewnych rozwlekłości, jest jedną z pereł literatury krytycznej; napisaną rozumnie, opartą na podstawach analizy szerokiej i wolnej od pedanterji.

Rzecz godna uwagi, że poeta dla podniesienia kolorytu i wartości rodzimej życia ówczesnego, wprowadził wyborne jako artystyczny kontrast figury: Telimeny i Hrabiego, w których wpływy cudzoziemskie przybierają barwy komiczne, pretensjonalne.

Chociaż stary obyczaj był mało wytworny, często prostacki, forma ubrania jaskrawa (boć kontusz i kolorowe buty są pochodzenia wschodniego), jednakże faktem jest, że oświata francuska, jednocześnie z idejami zbawiennych reform i nowego ruchu umysłowego, wprowadziły do dawnej Polski w literaturze ciasną rytynę, w modzie przesadę i wyrafinowanie, w obyczajach zniewieściałość i zepsucie. Zabijając poczucie prawdy i szczerość, narzuciła ona zarazem lackiej szerokiej fantazji wykrętne formy rococo. W Telimenie i Hrabi, który zresztą pod koniec poematu szlachetnieje i rośnie, poeta uwydatnił tę znaną prawdę, że naśladowcy obcej kultury, przybierają jej cechy zewnętrzne, wpadając przez to w śmieszność i przesadę. Schłostał w nich nie tylko manję cudzoziemszczyzny, ale i pogardę dla swojskości, szczególnie w pysznej figurze Telimeny, dotkniętej zgnilizną moralną i obojętnością na sprawy rodzime.

Niestety z pamiętników współczesnych młodości Mickiewicza, a szczególnie z pamiętników Bajkowa — można się przekonać, że poeta niedaleko potrzebował szukać wzorów dla wizerunku tej damy, że podobne wietrznice bezmyślne i płoche, trafiały się często w sferach najbardziej dotkniętych korupcją, w końcu zeszłego wieku. Telimena jest czysto powieściowym składnikiem „Pana Tadeusza", który z początku, istotnie miał być tylko powieścią. Może ona się pomieścić w poemacie, tak samo, jak Thersytes znalazł miejsce w „Iljadzie", jak opowieść o miłostkach Afrodyty w „Odyssei", a stara grymaśna Kekeja w „Ramajanie", jak romans Tankreda i Armidy w „Jerozolimie Wyzwolonej", chociaż klasycy warszawscy, nie mogąc darować Mickiewiczowi swego pogromu — mruczeli, że niepotrzebnie zabrudził poemat figurą tej petersburskiej nierządnicy. Telimena ma swe grzeszki, ale na taki ostry epitet nie zasługuje, boć nie mniej od niej broiły i broją damy, mające pozycję i znaczenie w salonach. A jednak bez niej i bez hrabiego, nie byłoby wielu wybornych miejsc poematu, a sam Tadeusz nie miałby możności wypowiedzenia swych cudnych zachwytów nad grą obłoków, nad powagą i czarem lasów litewskich. Obok tych figur — poeta roztoczył nad całem życiem Soplicowa, jakieś tęcze czarodziejskie, stworzył atmosferę błogości i ciszy.

Nie zamykał oczu na grzechy i błędy rodaków, chłostał prywatę i niesforność, ale nic dziwnego, że w poemacie, opartym na tradycji, przedstawił także strony domowego obyczaju, że sarkał przez usta współczesnych na głupią modę, że ubarwił ciekawe i rozkoszne znamiona obyczajów staropolskich.

Zresztą, bezwzględnych pochwał dla przeszłości nie wygłasza sam poeta, ale postacie poematu, zwłaszcza Pan Podkomorzy, który miał wielką rację, żartując z komicznej figury pana Podczaszyca, co w tych okolicach pierwszy wprowadzał francuską modę....

„Podczaszyc zapowiedział, że nas reformować,
Cywilizować będzie i konstytuować;
Ogłosił nam, że jacyś Francuzi wymowni,
Zrobili wynalazek, że ludzie są równi,
Choć o tem dawno pisano w Pańskim zakonie,
I każdy ksiądz to samo gada na ambonie.
Nauka dawną była, szło o jej pełnienie,
Lecz wtenczas panowało takie oślepienie,
Że nie wierzono rzeczom najdawniejszym w świecie,
Jeżeli ich nie czytano w francuskiej gazecie.

Głębszą prawdę powiedział pan podkomorzy, niż może sądził. Nauka miłości i równości dawną była — jako ideał, unoszący się nad życiem. Ideał nie wcielony, zaprzeczany w praktyce przez tych wszystkich, co dla swego egoizmu wyzyskiwali chrześcijańskie hasła. W Polsce — dawniej ta republikańska strona chrześcijanizmu była znaną dobrze w jednym, co prawda tylko — stanie uprzywilejowanym, chociaż zasada równości szlachcica z wojewodą była frazesem, któremu urągała tak często duma magnatów i serwilizm ich adherentów.

Nie trzeba zapominać zresztą, że Mickiewicz ani razu nie sarknął na naukę, na postęp oświaty, żartując jednocześnie z pretensjonalnej uczoności Buchmana, z płytkich poglądów artystycznych Hrabiego, z ignorancji sędziego i przesądów kapitana Rykowa. W imię tradycji, nie idealizował poeta tyranji domowej, ani ujemnych stron szlacheckiego życia, nie podnosił do apoteozy monitora boćkowskiego, nie silił się na poezję kielicha i kufla, biesiady i pijatyki.

A jednak ta strona „Pana Tadeusza" dała powód pisarzom radykalnym do oskarżenia poety o wstecznictwo. W ulotnem pisemku emigracyjnem „Demokrata Polski", wychodzącem w Poitiers w numerze z d. 4. grudnia 1830 r. gniewa się mocno pan Tomkiewicz, że „Pan Tadeusz" jest „najnierozumniej wysłowionym", albowiem autor wynurzył w nim barbarzyńską nienawiść przeciwko umysłowemu ruchowi i rozwinięciu Polski. Krytyk zapragnął, aby w każdym wierszu poematu, występowała zasada socjalna. To mi przypomina, że pewne grono panien, które uczyłem deklamacji na „Panu Tadeuszu", życzyły sobie studjować bardziej czerwonego poetę, zanim wytłómaczyłem tym zapalonym główkom, że muszą tymczasem poprzestać na Mickiewiczu, albowiem Marx i Lasalle nie pisali jeszcze poezji po polsku. Z demokratycznego jednak punktu widzenia, przekazał Mickiewicz piękne rysy tradycji, jak np. usługiwanie wieśniakom przez

wych dziedziców: Tadeusza i Zosię, podczas ręczynowej uczty. Zwyczaj ten, to zapewne zostałość z owych dobrych czasów, gdy szlachc był patrjarchalnym zwierzchnikiem włościan, e przytwierdzonych do ziemi pętami niewoli. gdy Tadeusz w porozumieniu się z Zosią — głosił potem uwolnienie chłopów swoich z podństwa, fakt ten wywołał wybuch powszechnej łości szlachty, wojska polskiego i ludu. Ta ancypacja włościan, jak twierdzi p. Habura cytowanej już broszurce, ma być naczelną eją utworu. Artystycznie jednak biorąc — scena jest epizodem, częścią współrzędną, bynajmniej e koroną całości poematu, którego nie trzeba tłaczać w ramy polityczno-społeczne, ponieważ ma daleko ogólniejsze — narodowe znaczenie. Ten ustęp nie jest klamrą dzieła, ale ogniwem, łączącem przedstawianą epokę z postulatami i prądami przyszłości.

Zamiar Tadeusza został na długie lata marzeniem, ale w danej chwili był zwiastunem twórczych idei naszego wieku, i wywołał z piersi wszystkich obecnych jeden z tych akordów bratniej harmonji, które kilka razy brzmią w ostatnich pieśniach poematu, niby dźwięki pieśni nuconej u n i s o n o przez tysiące ludu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Józef Kotarbiński.

Komissja śledcza warszawska z r. 1863.

6) (Wyjątek z pamiętnika.)

I w a n o w, urzędnik komissji prowjantowej e stary jeszcze, nie przebiegły dosyć, a z nary do komissji śledczej niezrodzony, bo chy do tego nie tylko się urobić, ale i urodzić otrzeba. Ci którzy z nim mieli do czynienia, e narzekali na niego, badania powierzano mu lko nader proste, głównie gdy szło o dopełenie formy. Był to człowiek nieszkodliwy, zy tem bez zdrowia.

S t i e p a n o w, adjutant j e n. Tuchołki, roaj buldoga opryskliwego, opędzającego się eszczęśliwym matkom i żonom, przychodzącym bilety do odwiedzania uwięzionych. Funkj osobnych, powierzonych sobie wyłącznie, awie że nie miał, bo też byłby chyba nic przy m nie dokazał.

Oto i komplet ludzi, w mundurach, pochoenia nie naszego, którzy dzierżyli w rękach oich życie i mienie wielu tysięcy — przez dłue lata. Do nich dodaćby chyba można część ospodarczą, reprezentowaną przez:

A r s z e n i e w s k i e g o — pułkownika, który ydalony ze służby czynnej za nadużycia, któch natury domyślić się nie trudno, próbował żnych urzędowań, zanim wreszcie tę sukcepo Żuczkowskim objął. Była to mina złota — kie stanowisko. Żywić na koszt skarbu o — 850 ludzi, zostających pod śledztwem, e licząc tych, którzy poszli pod sąd, a i tych, zawyrokowani już, doczekiwali się deportacji naczyło to mieć w ręku jeden z lepszych intesów. Miał kilku pomocników jak:

N i e p i j p i w o, kapitana starego pijaczynę, obrodusznego; G o n e w s k i e g o — porucznika jeszcze jakiegoś niedołęgę w peruce, którego azwiska nie pamięta piszący.

O tych panach, wspomnieć może jeszcze przyjdzie pojedynczo; zbiorowo jużeśmy się z nimi porachowali. Wobec moralności ścisłej, a choćby i luźniejszej nawet, dwóch terminów — oceniających dla nich — być nie może, ale trzeba pamiętać, że byli to ludzie narodu obcego, zwycięzkiego, którym pozwolono »poswawolić« i wzbogacić się w kraju, uważanym za podbity. Stać było ich sposobu myślenia na to, żeby się z zadania wywiązać z całą gorliwością, więc się wywiązali; nie należy jednak przypuszczać, że któryś dochrapał się, wyszedłszy ztamtąd — stanowiska wybitniejszego. Komissja śledcza wydzielała woń, która dla żadnego powonienia znośną nie była.

Inna zgoła kategorja, to ludzie zrodzeni i wychowani u nas — z rodziców tutejszych, złączeni z krajem wszelkimi węzłami naturalnymi; o nich teraz mówić będziemy, a jeżeli będziemy mniej oględni w wyrażeniach, niech czytelnik daruje, bo winy tych — z winami tamtych — w żaden sposób porównać się nawet nie dadzą. Jeśli tamci byli złymi ludźmi, ci nie byli ludźmi wcale A najprzód wedle godności i zasługi:

S ł u p s k i J ó z e f. W wieku kulminacyjnej wścieklizny — mógł mieć od 40 — 50 lat. Tu urodzony i wychowany, tutaj ożeniony i zestosunkowany. W wydziale kryminalnym pracując, żadnych wybitniejszych zdolności nie zapowiadał, prawdopodobnie nie miał ich istotnie, a to obycie w sprawach, które miał później, zawdzięczał przedewszystkiem wysokiej drapieżności, no i naturalnie rozgarnięciu jakiemuś, które mu dopomagało do rozwiniecia niektórych węzłów, nieco misterniej zaplątanych. Nie trzeba wreszcie przypuszczać nawet

tej myśli, iżby w Cytadeli jakiś talent, jakiś wyższy dar kombinacji był wymagalny i popotrzebny. Vidocqui, i Lecocqui e tutti quanti wyrastali na gruncie, gdzie policja śledcza i ustawodawstwem i opinją publiczną skrępowana była niesłychanie. Jakiej tu i jak wielkiej przebiegłości może być potrzeba i ktoby się silił na nią wtedy, kiedy wolno tysiące przyaresztować, aby dostać jednego, którego potrzeba, a z tymi tysiącami, dostawszy je w ręce — robić wszystko co się podoba. Przecież pomiędzy tylu ludźmi nie podobna trafić na samych silnych, zdecydowanych i niezłomnych, a z tych jednego groźbą, drugiego tysiącznemi dokuczliwościami, a innych nakoniec, jakimś choćby tuzinkowym fortelem — zawsze wziąć można. Wreszcie wszystko zależy od dozy tych środków przygnębiających, a kto ma tych środków ad libitum, a czas dowolny — ten jeżeli się nic nie dowiedział — niedołęgą musi być skończonym. Jeżeli idzie o ocenę sumienną, to niektóre ze środków, jakich się chwytał, dowodziły inwencji miernej, dopuszczalnej zaledwie tam, gdzieby miał do czynienia z jakimś »niewinnym« którego właściwie mówiąc — nie opłacało się żywić w Cytadeli, a który jako taki — przecież depozytarjuszem żadnych tajemnic być nie mógł. Jeżeli zaś uciekał się do środków nader elementarnych względem ludzi, którzy na inną przynętę — bardziej skomplikowaną — wzięci tylko być mogli, był to w takim razie niewybaczalny ze strony sędziego śledczego error in persona, który zdmuchiwał odrazu całą przewagę badającego i pozwalał badanemu w głębi duszy mieć go za hetkę pentelkę profanującego sztukę. Chcemy mówić o nicości środków, jakich się niekiedy chwytał względem ludzi młodych wprawdzie, ale z dobrego towarzystwa, z wykształceniem, a co najważniejsza w sprawach takich wyćwiczonych, bacznych i węszących haczyk wędki zdaleka. Oto np. pozwalając sobie przy badaniu pewnego odpoczynku, siadał, robił się naraz łagodniejszym, nb. nawściekawszy się przed pół godziną wiele mu siły pozwoliły, przyciszał głos, wychodził za drzwi, aby zobaczyć, czy go żandarm nie podsłuchuje i zaczynał swoje małe konfidencje. Biadał nieszczęśliwy na smutny zbieg okoliczności, który i jego tu zapędził, na nieufność, okazywaną mu na każdym kroku, dając z gorzkim uśmiechem do zrozumienia, że gdyby pewne rzeczy nie znane wyszły na jaw, mógłby i on z badającego przemienić się w badanego i t. d. i t. d. Piszący słyszał go, haftującego w ten deseń dosyć długo. Rozumie się konieczność zmuszała przyjąć minę do okoliczności zastosowaną, ale że to człowiek młody — jest młodym nawet w murach Cytadeli, a w tym wieku miłość własna jest dosyć czułą i nikt niedoświadcza przyjemności kiedy go mają za hebesa, więc trzeba było dobrze panować nad sobą, żeby mu się przynajmniej nie roześmiać w nos za takie nieprzyzwoite żarty. Fe! juściż że to było fałszerstwo — nikt niezaprzeczy i to fałszerstwo z gatunków takich, które ubóstwo środków odrazu demaskują i dowodzą, że aktor ów jest mizernym, a dar obserwacji kształcił sobie na indywiduach niższych od przeciętnych.

Był urzędnikiem sądowym, miał rutynę kryminalną, pracował pod takim zwierzchnikiem jak Wieczorkowski, więc nie było się czemu dziwić, że jego protokoły były więcej warte od reszty, że w nich był początek, środek i koniec, metoda i treściwość wymagalna, podczas gdy inne zdradzały robotę elementarzystów prawdziwych, ale reasumując wszystko — wybitnym sędzią śledczym nie był Słupski wcale.

Rezydował w I. wydziale, w wielkiej sali, gdzie przy stole prezydjalnym siedział Tuchołka, po prawej stronie miał kanceliste starego — Czernickiego, nieszczęśliwca, prawdziwą duszę pokutującą w tem piekle, który zeszywał akta. Jakim sposobem ten się tam znalazł, wiedzieć było trudno; po lewej był drugi stół, pełen aktów obstawiony dokoła krzesłami. Widać odbywało się tam niekiedy coś w rodzaju posiedzeń. Na tym stole stał także i Chrystusa wizerunek. Profanacja jedna ze śmielsych!

Że niesłużyła do odbierania przysięgi to fakt, bo zeznania świadków nigdy zaprzysięgane nie były; inaczej i dziesiątej części tych zeznań nie dałoby się było wycisnąć. Lud nasz w owych czasach był religijnym jeszcze i do krzywoprzysięstwa pociągać go nie było łatwo.

Jak już wzmiankowaliśmy opuścił służbę na stanowisku Członka Senatu. Emerytura do której niemógł sobie wyrobić dodatku ad personam wydawała mu się za położone zasługi kampensatą niedostateczną. O ile sprawdzić się dało przekupny nie był; przypuszczać wolno, że stawszy się malkontentem jedyne wyrzuty, jakie sobie robić mógł, były te, że niedosyć pamiętał o sobie, zaufawszy zanadto karjerze.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

6) # ZAJĄC.

POWIEŚĆ

przez

Adolfa Dygasińskiego.

Nareszcie doktor zabrał się do chorego, obejrzał język, pomacał puls i zaczął bańki stawiać, a Marynia mu pomagała, co starego nadzwyczajnie wzruszyło, uważał to za dowód dba-

łości córki o zdrowie ojcowskie. Kiedy Tetera, gęsto obłożony bańkami, syczał, panny tymczasem szczebiotały i chychotały z Chyleckim, a Terenia znowu się wyrwała:

— Czy pan kobietom także stawia bańki?

— Oo, i jak!... — zawołał doktor z uśmiechem znaczącym, a Marynia okiem przesłała siostrze błyskawicę gniewu.

Całej rodzinie dużo do myślenia dała okoliczność, że doktor nie chciał przyjąć wynagrodzenia za wizytę.

— Bardzo grzeczny i dorzeczny człowiek! — rzekła Flora zadowolona.

Marynia spojrzała zalotnie w zwierciadło, poprawiła sobie grzywkę i odparła:

— Ja wiem, dlaczego Chylecki nic nie przyjął!

Stary leżał z zamkniętemi oczyma i w cichości rozmyślał: — Franek szelma, pewnie zgoni, zmorduje szkapę!... Dałbym ja mu!

Pod wieczór pogorszył się stan zdrowia i chory zaczął stękać.

— Czego kwękasz? — fuknęła nań Flora. — To ci nie ulży, a nas głowy bolą.

Napomniany wstrzymywał się od jęków i choć sam w nocy nie spał, innym spać nie przeszkadzał.

Ale nazajutrz rano znowu stękał, zapomniał się widać. Przychodzą na to do domu sąsiadki i któraś półgłosem z miną litościwej — duszy powiada:

— Z duszy serca życzę mu wyzdrowienia, ale jeśliby się długo miał tak męczyć, to lepiej, żeby odrazu...

Tetera słyszał te słowa, drgnął, rozstękał się głośniej jeszcze.

Drgnęła i Flora: — Źle byłoby stracić takiego wołu roboczego!

Inna sąsiadka wsłuchuje się w owe jęki starego: „ę, mę, tę“ i powiada:

Toć on wyraźnie prosi o miętę! Dać mu mięty!

W jakie pół godziny potem Terenia podała ojcu spory garnek wrzącego miętowego naparu. Chory pochwycił garnek oburącz, pił chciwie, jak koń spragniony, kiedy się dorwie do strugi. Wypił wszystko, odsapnął, trapiony przez czkawkę, odwrócił się do ściany i usnął.

O zmroku przetarł oko, ziewnął szeroko, wstał, odział się, wziął strzelbę pod kapotę i poszedł w pole.

Taki nie ma czasu chorować.

* * *

Ej, co tam dla zająca jesień w porównaniu z zimą!

W noc cichą, księżycową — przyszedł mróz, wylał na ziemię swój mroźny wrzątek, uwarzył w nim liście roślin; muchy, motyle poobracał w trupy. Po nim nastąpił wicher i rozrzucił trupy po świecie. Z kolei przyszedł śnieg, pogrzebał liście, muchy, motyle we wspólnym grobie i zaczęła się zima.

Straszne są te zimowe wędrówki po nocach, kiedy zając, aby się pożywić, z duszą na ramieniu chadzać musi do siedzib człowieka, wroga swego.

Bywało, przez cały tydzień śnieg gęsty sypie płatami; drogi, pola, lasy, wszystko zadęte. Tak biało i biało wszędzie, że wśród tej białości gór od dolin rozróżnić nie można, a z blasku takiego oślepnąć łatwo. Śnieg przestał padać, mróz trzaskający ścisnął. Iskrzą się w nocy światła niebieskie i z góry tak jasno patrzą na głód a chłód zwierząt — jasno i spokojnie. Matko — przyrodo, gdzież ty masz serce dla swoich dzieci?...

Po mrozie odwilż, a potem — znowu zadymka śnieżna, kurzawa taka, że świata nie widać. Biedny zając tuła się, wałęsa noc całą, brnie w zapasach śniegu po uszy. Zna tak dobrze tę okolicę, a jednak błądzi nieustannie. Pragnął oto przedostać się do rzepaku i zaszedł podczas zadymki w ugory wyjałowione. Z wielkim trudem — odgrzebał wał śniegu i znalazł twardą skorupę ziemi, skrzepłą od mrozu. Teraz chciał wyjść na oziminy, a zabrnął w sapowate oparzeliska, gdzie woda nie zamarza, i po brzegach olszynowa krzewina porasta. Ogryzał tutaj cierpką, gorzką korę, a wicher straszliwie huczał i dął nań śniegiem. Przekopał się na jakąś polankę, przystanął, miarkuje, gdzie wieś, stajnie. Dzikie zwierzę w razie głodu gotowe pukać nawet do bram wstrętnej dla siebie cywilizacji. Tam się zawsze znajdzie jakiś okruch jadalny. I znowu brnął przez zaspy, niczyją nogą nie tknięte. Szedł na los szczęścia, prosto przed siebie, gdyż w taką zawieruchę oczy go prowadzić nie mogły.

— Oj, jeść się chce, gwałtu — jeść, jeść!...

Pędzony głodem straszliwym, zatracił w sobie uczucie strachu, narażał się na ciężkie niebezpieczeństwa: mógłby podejść nawet do psiej budy i z pod śpiącego wroga wyciągnąć bodaj kłak słomy — okropna ostateczność!

(D. c. n.)

Lili.

ŻAŁOSNA IDYLLA

przez

Władysława St. Reymonta.

(Ciąg dalszy.)

— Pamiętam dobrze, odczułam to głęboko, płakałam później, pamiętasz? Nie chciałam ci powiedzieć, dlaczego, bo bałam się twojego

śmiechu, bo zresztą wstydziłam się ciebie, bo przecież ty nie nasz, nie taki, jak Feluś, Korczewski, albo nawet Olkowski, a tyś taki sam pan, jak i ci obywatele, co przyjeżdżają na przedstawienie, jak ci, co nas wtedy przyjmowali, a twoja mama musi tak samo traktować aktorki, jak tamta pani. Pokazywałeś mi list od matki, latem. Bawiliśmy się wtedy tem, co ona wypisywała na nas, pamiętasz?

Mówiła niepowstrzymanie, i żal do tego świata, gniew i obawa drgały coraz silniej w namiętnych akcentach jej głosu.

Leon próbował tłumaczyć i bronić, ale mu nie pozwoliła dojść do słowa, wypowiedziała wszystko, co czuła, aż w końcu zmęczona, usiadła obok niego.

— Panie Leonie! — szepnęła po chwili, ale tak cichutko i prosząco, a błagalnie, że drgnął niespokojnie.

— Co! Kochasz mnie, Lili? Powiedz, i nie myślmy już o czem innem, nie zatruwajmy sobie tych cudnych chwil. Kochasz mnie?

— Kocham cię! kocham! Przytuliła się do niego z serdecznością, położyła mu głowę na piersiach i patrzyła w niego oczami, pełnemi ognia i łez.

— Kocham cię! — szeptała, dotykając z pieszczotą końcami palców jego twarzy, oczu, czoła, gładząc mu włosy — kocham cię, mój Lwie, mój mądry, mój dobry, mój jedyny, mój chłopaku złoty! Ja nie wiem, za co mnie kochasz, ja nie wiem dobrze, czego chcesz odemnie. A jeśli mnie chcesz, to weź mnie sobie, zabij, zrób swoją służącą, bylem tylko była przy tobie, byleś mnie tylko kochał. Ja jestem głupia dziewczyna, ja jestem niemądra, ale tak kocham mojego pana, tak kocham bezmiernie, tak kocham! — szeptała upojona, oplotła go ramionami, całowała gorączkowo i wybuchnęła znowu takim spazmatycznym płaczem, że uciekła za parawan.

Nie poszedł za nią, bo nie śmiał i co raz mniej rozumiał, co się z nią dzieje, po co mówiła mu o domu, co znaczyły te akcenty bólu w jej głosie, i te łzy, które nie były łzami szczęścia, lecz jakby płaczem rozpaczy. Nie miał czasu rozmyślać, bo weszła matka i już od progu mówiła:

— Czekaliśmy u Korczyńskich na was, a z tego powodu Gajkowska robiła tak złośliwe domyślniki, że chociaż jestem spokojna kobieta, nawymyślałam jej.

Zakrzewski się podniósł zmieszany, bo domyślniki musiały dotyczeć jego i Lili.

— Nie poszliśmy, bo... bo... ja się właśnie oświadczyłem pannie Lili... i jeżeli pani nic nie ma przeciwko temu, to proszę najuroczyściej o rękę córki. Sądzę, że już mnie pani poznała trochę, że moje zamiary były...

— Historje! Dalibóg, że tylko napisa[...] przedstawiać! Historja, czysta historja! Gdzi[...] ja to czytałam, tylko niepamiętam tytułu, [...] jakiś lord poszedł do cyrku, bo się zakoch[...] w woltyżerce, ożenił się z nią potem, ale o[...] umarła. Bardzo tkliwa, rozrzewniająca histor[...] płakałyśmy z Lili nad nią cała noc.

Zakrzewski przerwał jej trochę niecierpl[...]wie i zaczął gorąco opisywać swoją miłość.

— Wierzę panu i, jeśli Lili chce, to s[...] pobierzecie, tylko dobrze się namyślcie, bo [...] sztuka nowa, niegrana, a role trudne!

Rozebrała się z salopy, zamieniła po [...]chu kilka słów z córką i usiadła na zwykłe[...] miejscu, rozkładając książkę na parapecie, a[...] nie czytała; błądziła oczami po podwórzu, pe[...]nem drobiu, rozgrzebującego śnieg i nierogac[...]zny, tłoczącej się przy korycie, a myślami bł[...]dziła gdzieś daleko, może w przeszłości, bo [...] jej bladych ustach wykwitł dziwnie smut[...] uśmiech, jakby wspominała umarłych. Jej s[...]chy profil miał ślady wielkiej piękności, a ca[...] wyraz twarzy i przedwczesna siwizna mówiły[...] że wiele cierpiała w życiu.

Zrobiła się przykra cisza, bo Lili wc[...] szlochała za parawanem, a Zakrzewski nie wi[...]dział, co robić ze sobą: przysiadał, to chodz[...] zaglądał za parawan, to znowu mówił o swoi[...] planach, o przyszłem życiu z żoną, o swoi[...] stosunkach domowych, o przyszłem szczęści[...] o niezmienności uczuć swoich. Ale nikt nie od[...]powiadał, Lili płakała, a matka patrzyła [...] okno i, potakując jego słowom, uśmiechała si[...] smutnie. Nie mógł już znieść tego i wziął ka[...]pelusz.

— Panno Lilio, może się pani ze mną po[...]żegna, bo już wyjść muszę.

Podniosła, rozczerwienioną, zapłakaną twarz z poduszki.

— Do widzenia, wesołej kolacji życzę pa[...]ni, przyjdę jutro, można?

Podał jej rękę przez wierzch parawanu, ujęła ją śpiesznie i bardzo mocno przycisnęł[...] do ust; odsunął spiesznie parawan i pocało[...]wał ją w czoło.

— Kochasz mnie? — zapytał cicho.

— Kocham cię, mój Lwie, mój panie je[...]dyny, kocham! — Chwyciła jego głowę w dłonie i ucałowała gorączkowo.

Powiódł pieszczotliwie ręką po jej włosach, pocałował ją w rękę i wyszedł.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Czcionkami »Drukarni Polskiej« we Lwowie. (Pasaż Hausmana)